

PIERRE MILLE.

## MONOKL.

Ciekawe było, czy pan, który wysiadł do tramwaju — na linii Louvre — Vincennes — był dawniejszym oficerem kawalerji? We wszystkich armjach Europy, w Niemczech jak i we Francji, w Jugosławji i Italji, po wielkiej wojnie, jak i przed wojną, monokl był wyłącznym przywilejem i oznaką kawalerzystów.

Przyjaciel mój, Louweguin, obrzucił pasażerów tramwaju spojrzeniem ostrzegawczym, sięgnął do kieszeni kamizelki i wyciągnawszy zeń monokl umieścił go w oku.

Wszyscy obecni w tramwaju uśmiechnęli się z aprobatą.

Louweguin nie ograniczył się na tem: z drugiej kieszonki wydobyl jeszcze jeden monokl i osadził go w drugim oku. Pan w monoklu, który dotąd, zajęty czytaniem gazety, nic nie zauważył, unosił głowę. Spodziewałem się przykrego zajścia — nawet wymiany biletów wizytowych. Niesmaczny żart mego znajomego w zupełności na to zasługiwał. Nieznajomy zadowolil się jednak zrzuceniem szkła z oka i wysiadł na następnym przystanku.

— Znam go, — rzekł Louweguin w odpowiedzi na wymówkę z mej strony. — Jest to poceziwy kupiec, który nadać sobie pragnie dystynkcji.

„Co do mnie, nauczyłem się nosić monokl w liceum jeszcze, czterdzieści lat temu. Koszary huzarów znajdowały się w pobliżu szkoły i codziennie spotykaliśmy oficerów, noszących wspaniałe nazwiska... i monokl. Szczegół ten był tak rozpowszechniony, iż przypuszczać można było, że stanowi integralną część umundurowania każdego porucznika, kapitana i pułkownika. Zresztą wszyscy podoficerowie naśladowali swoich zwierzchników. Nosili monokl bez sznurka, osadzony w orbicie oka, tak jak nosić się go powinno. Nie wiem jednak jakim sposobem któryś z oficerów kiedyś zgubił swój. Wypadł mu z oka do kępki bukszpanu. Szukał go i, nie znalazłszy, oddał się.

W ciągu dwóch godzin opanowałem tę sztukę. Dziś zaś potrafię go utrzymać nawet we śnie. Wywołało to zachwyt kolegów.

W naszej klasie było dwunastu, nawet piętnastu kolegów z monoklem. Postanowiliśmy całą gromadą urządzić imponujący występ do liceum. Udało się nam to w całej rozciągłości. Nasz portjer, którego przezważyliśmy Gambetą dlatego, że nie widział na jedno oko i nosił gęstą brodę, przyjrzał się naszej defiladzie z osłupieniem, lecz w milczeniu. Przed wejściem do westybulu Mortier-Chalinot uprzedził nas: „Uwaga! Nasz wychowawca!“

Wyjeliśmy delikatnie monokle, lecz po to tylko, by nałożyć je znowu na lekcji literatury.

„Profek“ literatury był zacnym typem, starszką z 48-go roku, który niegdyś odmówił złożenia przysięgi Napoleonowi III i

wydałony z kraju sadził wino w Belgji zanim nam, zawadzakom, przyszedł wykladać piękno poezji Wirgilijusza i klasyków francuskich, nad których, zresztą, przekładał Wiktor Hugo...

Zobaczył nas i oburzył się. Oburzenie jego wyraziło się w górnych słowach: „Albo chcieliście naśladować ludzi, noszących szablę u boku, albo ich ośmieszyć“ W jednym i drugim wypadku zatem byliśmy małymi lotrami.

Konkluzja: przepisanie pięćdziesięciu wierszy dla eksternów, areszt domowy dla internów... Pan dyrektor, poinformowany o przyczynie tej kary, podniósł ją łaskawie — w stosunku do swego stanowiska — do dwunastu godzin na niedzielę.

Areszt odsiadywało się na trzecim piętrze w liceum, w okratowanych klatkach. — Tamże załatwiano przepisywanie pod okiem sceptycznie nastrojonego pedla.

Należałem do liczby tych, na których padła kara aresztu. Pomimo to objawiłem zamiar przeprowadzenia swej zachcianki w nadziei zdobycia świadectwa okulisty. Mortier-Chalinot zauważył słusznie, że do tego trzeba było pozwolenia rodziców. Zostałem pobity i koledzy tchórzliwie wyrzekli się monoklu w murach liceum. Pozostała nam ulica. Używaliśmy monoklu dla lornetowania „panienek“. Wyśmiały nas. Nie wiem dlaczego uważały monokl za rzecz piękną i ozdobną z oku huzara, a pogardliwą godną u nas? Była to krzyżująca niesprawiedliwość! Zdecydowaliśmy się wkońcu na „monoklową“ manifestację przed koszarami huzarów.

Przekonasz się zaraz o znaczeniu — olbrzymim znaczeniu, jakiego nabiera na prowinicji najgłupszy nawet i najbanalniejszy żart uczniowski.

Och! dobrze przygotowaliśmy się do rzeczy. Mieliliśmy wśród nas Lecuru'ego, który brał lekcje konnej jazdy. Pobieraliśmy je także pod jego kierownictwem. Lekcje konnej jazdy pieszko, tak, jak w kurs gimnastyki szkolnej wchodziły lekcje pływania na łądzie, które nikogo jeszcze nie uratowały od zatopienia się w razie wypadku... Słowem: chcę powiedzieć, że Lecuru nauczył nas poprosu chodzić, trzymając nogi w pozycji półkulistej, okrągłej, jak stawiają je prawdziwi kawalerzyści. Wprawni w tę nieocenioną sztukę i umiejętność i ozdobił w miodzowne monokle, udaliśmy się na plac przed koszarami. Tam defilowaliśmy rzędami, po trzech, idąc stępą. Zapewniam cię, że było to piękne widowisko.

Warta przyjrzała się nam nęciwie, nic nie pojmując. Powtórzyliśmy przemarsz. Tknęły naszą natarczywością, żołnierz zawiadomil dyżurnego podoficera. Ten pojął odrazu. Zrozumiał, że wyśmiewano się z kawalerji i dyscypliny wojskowej nawet, rzecz, której ścierpieć nie mógł. Pomimo to okazał się pobłażliwy:

„Zejdźcie mi tu z oczu, bando nęgusów! — rzekł poprostu dobrodusznie.

Ustapiliśmy. Jednak ustapiliśmy tylko chwilowo. Ukazaliśmy się po pięciu minutach znowu, a także i dni następnych. I wów czas złożył raport — raport, który stopniowo, po szczeblach hierarchji, dotarł do pułkownika.

Dawódca pułku, Croix de Verdy de Bombier, doznał słusznej irytacji, lecz zarazem i zaambarasowania. Wkońcu ulica jest dla wszystkich, a żaden przepis policyjny nie przewiduje zakazu noszenia monoklu — nawet dla dzieci. Monokl nie stanowi wyłączonego przywileju oficerów kawalerji. Nie jest przedmiotem ani nieprzyzwoitym, ani rewolucyjnym. Co tu robić?

Nie pozostawało mi zatem nic innego, jak tylko zakomunikować o zajściu dyrektorowi liceum. Opisał mu obraźliwe zachowanie się uczniów, wyraźny ich zamiar ośmieszenia oficerów mu podwładnych itd. Kończył, jak przystoi wojakowi, słowami:

„Umiem utrzymać karność wśród moich żołnierzy. Niech się pan zatroszczy o przywrócenie karności wśród uczniów swoich.“

Dyrektor każdego z nas zawiadomil „indywidualnie“ do swego gabinetu. Zwrócił się do nas po olimpijsku: majestatycznie i groźnie. Zawiesił nad naszymi głowami Demoklesowy miecz wylania.

Naradzaliśmy się pomiędzy sobą.

— Niech sobie gada! — rzekł Mortier-Chalinot. — Nie „wylewa“ się za jednym zamachem piętnastu uczniów jednej klasy. Narobiłoby to halasu w ministerstwie oświaty! Tem bardziej, że tatuś zwróciłby się do ministra! Ma plecy wszędzie...

Wynikło z tego tylko tyle, że p. dyrektor zawiadomil nasze rodziny, lecz i rodziny nasze przyjęły sprawę „indywidualnie“: jedno z źle ukrytem rozbarwieniem, drugie — kilkoma policzkami. Policzki nigdy jeszcze nie zaszkodziły nikomu. Ubawiliśmy się wybornie, radzi z doniosłości sprawy.

Przyjęła bowiem rozmiary kwestji stanu, konfliktu ludności cywilnej z wojskiem Pułkownik przestał się kłaniać dyrektorowi liceum, a dyrektor przestał się witać z p. Croix de Verdy de Bombier. Mer, proszony o interwencję, wycofał się dyplomatycznie. Panowie oficerowie odmówili swego współdziałania w wyścigach, urządzanych przez władze municypalne. A prasa lokalna jakże zajęła się tem zajściem! A prasa paryska dopiero! Wysłała specjalnych sprawozdawców do N. Interwiewowano nas: było to wspaniałe — był to rozgłos, sława dla nas.

Wkońcu zajął się tem rząd, a rząd nie lubi żadnych głośnych historyj. Minister oświaty publicznej wyraził swą nagane dyrektorowi liceum, ale i minister wojny nie emieszkał wyrazić nagany pułkownikowi. — Rozkaz brzmiał z obu stron: „Sprawie należy położyć koniec!“

I wiesz, mój stary, jak się to skończyło? Pułkownik zabronił swoim oficerom noszenia monoklu. I cóż ty na to?

Tłum. L. M.



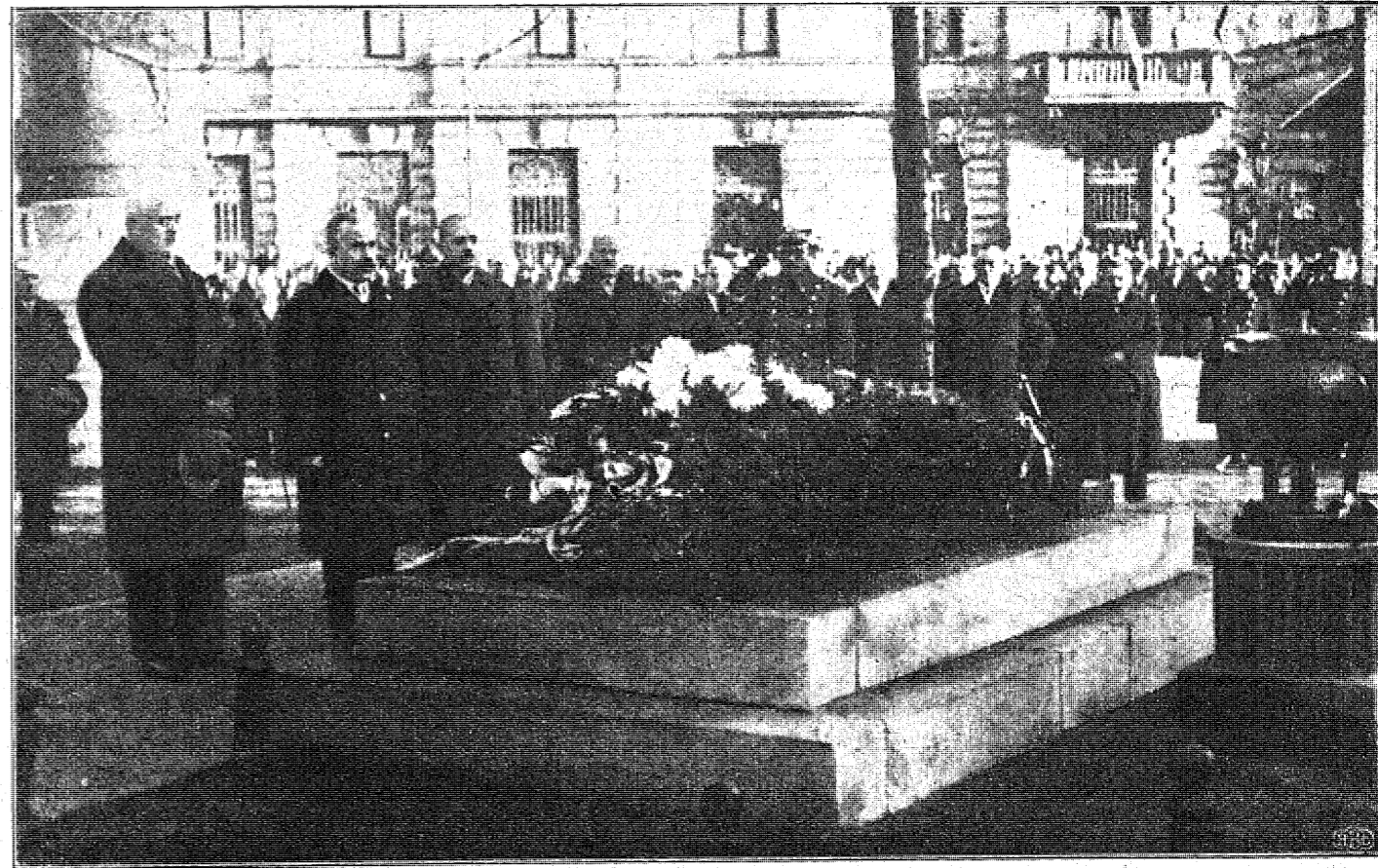
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI

Niedziela, 7 grudnia 1930 roku.

Nr. 50.

## W 100-letnią rocznicę powstania listopadowego.



Szczególnie uroczyste i podniosłe uczciła Łódź 100-letnią rocznicę Powstania Listopadowego, składając zbiorowy hołd pamięci wielkich bojowników o wolność. Punktem koncentracyjnym był kościół katedralny oraz płyta Nieznanego Żołnierza, przy której zebrali się przedstawiciele władz, wojska, organizacji i korporacji społecznych. Stąd też wyruszyły zwante szeregi na wielką rewję wojska. Na zdjęciu widzimy przedstawicieli władz, miasta i społeczeństwa przy płycie Nieznanego Żołnierza. Fot. A. Meyer, tel. 108-81.

CENY OGŁOSZEŃ: za wiersz milimetry 1-lamowy (strona 3 lamy) — 1 złoty. Zastrzeżenie miejsca 25 proc. drożej. Ogłoszenia firm zagranicznych 100 proc. drożej. Przy ogłoszeniach kłiszowych koszty wykonania kłiszy ponosi inserent. Na pierwszą stronę ogłoszeń nie przyjmuje się. Rozpoczęty lam liczy się za cały. Administracja zastrzega sobie prawo kwalifikowania ogłoszeń.

Oddręko w drukarni „Kurjera Łódzkiego“.

**TEATRALJA.**

**Fren-jery warszawski. — Wspomnienia o Helenie Modrzejewskiej. — Jeszcze jedna sztuka wojenna.**

Warszawski teatr popularny „Ateneum” którego kierownictwo w b. sezonie wziął w swe ręce znakomity aktor i doświadczony reżyser, Stefan Jaracz, rozpoczął nowy rok pracy pod doskonałą wróżbą. Wystawienie „zmodernizowanej” „Zemsty”, o czem we właściwym czasie pisaliśmy, przyniosło z punktu, nawet jak na Warszawę, sukces wyjątkowy, wyrażający się liczbą zgórą siedemdziesięciu przedstawień! Nie zapominajmy przytem, że „Ateneum” — to teatr w zasadzie robotniczy, a więc posiadający ograniczony kontyngent publiczności, — mieszczący się przytem nie w śródmieściu, lecz nieco na uboczu (przy ul. Czerwonego Krzyża), dokąd rzadko tylko i niezbyt chętnie skieruje się stopa lańwego z natury warszawskiego mieszczucha.

Po rekordowym sukcesie „Zemsty”, której nowa inscenizacja mogłaby nauczyć nie jednego z nawet bardzo renomow. reżyserów wielkich teatrów, wystawił Jaracz bardzo interesującą nowość amerykańską E. L. Rice'a p. t. „Ulica”. Jest to dramat, czy może raczej melodramat, o charakterze zbiorowym, nie indywidualnym, choć — rzecz prosta — historia pewnej rodziny robotniczej użyta została przez autora jako spoidło, wiążące w całość epizody rozczłonkowanej i wieloplanowej akcji. Technika sceniczna „Ulicy” przypomina bardzo „Przebiegów” Brucknera granych m. in. w Łodzi w sezonie ubiegłym; bohaterem „Ulicy” jest właściwie zbiorowisko ludzkie, zamieszkujące wielką kamienicę nowojorską w dzielnicy ubogiej. Niemal wszystkie sprawy, interesy, pragnienia lokatorów tej kamienicy wiążą się różnobarwnymi nićmi w jeden spleciony kłębek twardej, wspólnej egzystencji. Przekładnienie tej kamienicy — zjawisko jakże dobrze dziś znane w wielu większych miastach Europy! — wieczny w niej zgiełk i hałas, fizyczne, ciągłe uzależnienie od siebie ludzi i rodzin, którym braknie powietrza i przestrzeni, powoduje specjalny rodzaj udreki moralnej o bardzo niebezpiecznych konsekwencjach, z których doniosłości nie wszyscy nawet „udręczeni” sami zdają sobie sprawę. Dzieje rodziny Moran'ów w której ojciec zabija żonę i jej kochankę, zaś córka z trudem tylko zrywa oplatając ją sieci niebezpiecznych pokus i tanich miłostek, są w przeważającej mierze ilustracją, tczy o socjalnych następstwach nędzy mieszkaniowej i podkreśleniem wyrażanych przez nią kulturze i moralności szkód.

„Ulica”, której technika oparta jest głównie na pomysły szybko zmieniających się epizodów „domowych” i zbiorowych scen lokatorskich bądź ulicznych, nastrecza dla reżysera wiele poważnych trudności, z którymi umiał sobie przecież poradzić dyr. Jaracz, grający — ponadto — jedną z głównych ról — robotnika Morana. Obok p. Jaracza, który dał nową, ciekawie i głęboko ujętą kreację, wyróżnili się w rolach pomniejszych pp. Perzanowska i Drabikówna oraz pp. Chmielowski i Maniecki.

W jednym z dzienników poznańskich p.

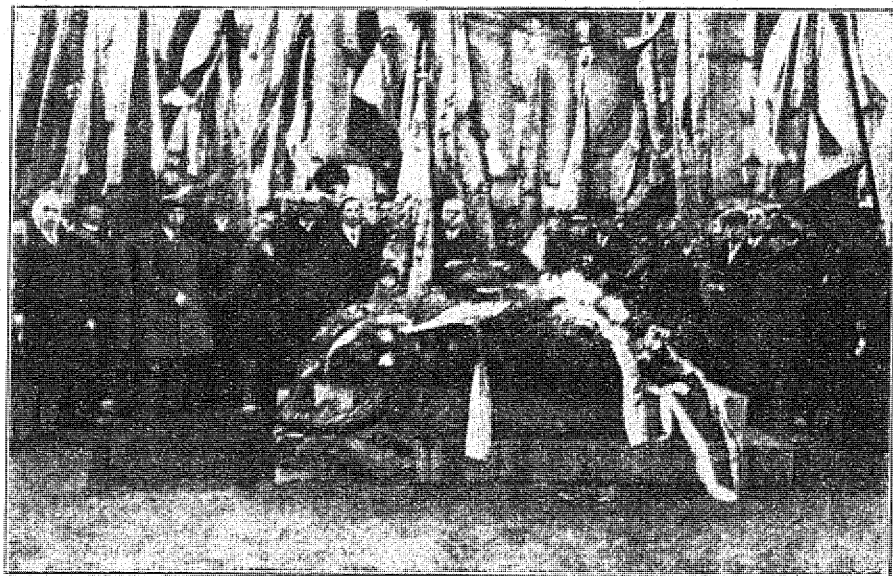
Stablewska z Zalesia pomieściła niedawno garść ciekawych wspomnień o występach gościnnych Heleny Modrzejewskiej w Poznaniu. Choć wspomnienia te datują się z przed czterdziestu laty, treść ich nie traci przecież nic ze swej świeżości, bezpośredniości i znaczenia. Oto co pisze m. in. p. Stablewska: „Przedstawienie rozpoczęło się o 8 wieczorem. Dawano „Walkę kobiet” Scribe'a. Serce drżało mi nieokreślonym niepokojem, zanim artystka nie ukazała się na scenie. Cóż to za uroczą, sympatyczną postać! Jakiż głos melodyjny, wdzięk i szlachetny układ! Mimo lat 50, Modrzejewska (Karolowa Chłapowska) wyglądała tak młodo, że nikt nie dałby jej więcej jak 30 lat. W roli zakochanej ciotki od razu ujęła sobie całą publiczność... Zupełnie inne wrażenie czyni Modrzejewska w „Adriannie Lecouvreur”. Trudno opisać z jakim przejęciem wcieliła się w rolę nieszczyśliwej kochanki Maurycego Saskiego... Nazajutrz Modrzejewska pysznie wyglądała w roli Praksey w „Karpackich Góralach”. Zrazu wesoła, pełna temperamentu, hoża dziewczyna, szczęśliwa narzeczona najpiękniejszego górala, — potem smutna i znękana, szukająca go po świecie. We wszystkich tych przemianach Modrzejewska była niezrównana — tak samo w roli Beatrycy w Szekspirowskim „Wiele hałasu o nic” rozwinęła tyle wdzięku, świeżości, gracji, humoru i werwy iż publiczność z zachwytem patrzyła na tę odmienną fazę olbrzymiego jej talentu, śmiała się porwana kaskadami pociągającego śmiechu Beatrycy i bez przerwy biła brawa. Marja Stuart — przewyższała wszystko, co przeżyliśmy dotąd... W każdym słowie czuć majestat królewski, wielką powagę i świadomość poważnej sytuacji...”

Nie będziemy cytować dłużej autorki ciekawych wspomnień. Podkreślić wypada w nich jednak — obok zrozumiałego, niekłamane zachwyty — pewną, charakterystyczną dla talentu Modrzejewskiej okoliczność. Oto wspomina p. Stablewska w nie-

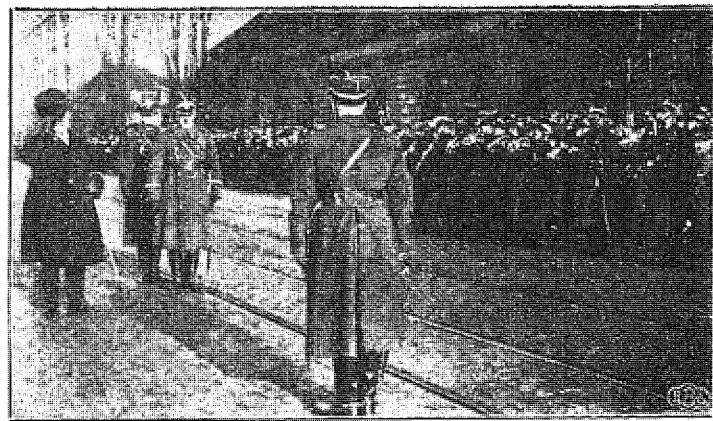
długim ustępie swych wspomnień o pięciu aż rolach Modrzejewskiej, odmiennych zupełnie charakterem, epoką, zawziętością psychologiczną i zewnętrznymi cechami. A przecież w każdej z tych z tak odrębnych kreacji, od wiejskiej dziewczki Praksey w „Karpackich Góralach” do pełnej majestatu cierpienia królowej — Marji Stuart potrafiła Modrzejewska porwać publiczność i wstrząsnąć nią, kazać jej śmiać się i płakać. Ta proteuszowa zdolność uzewnętrzniania swej wspaniałej indywidualności aktorskiej w tysiącznych formach i odmianach była najcudowniejszym chyba składnikiem: artyzmu Modrzejewskiej, artyzmu, któremu, prócz jednej może Eleonory Duse, nikt dorównać nie zdołał.

Jak świadczą losy wystawionej niedawno w Berlinie sztuki Rechfisch'a p. t. „Brześć Litewski”, dramatyczna literatura wojenna przejadła się już porządnie publiczności, która stanowczo woli coś weselszego, lżejszego, bardziej oderwanego od życia i jego rozlicznych ciężarów. Treść sztuki Rechfisch'a, która jest dość w swej wartości niejednoznaczna, stanowią pertraktacje pokojowe pomiędzy Rosją a Niemcami w Brześciu Litewskim, wszczęte po przewrocie bolszewickim, gdy Rosja wycofała się już niemal z wojny, — a zakończone podpisaniem upokarzających warunków pokojowych pod naciskiem marszu wojsk niemieckich wgląd Rosji. Niektóre dialogi, np. Wilhelma z gen. Hofmannem, są żywe, wyraziste i pełne politycznej wymowy; inne znowu fragmenty sztuki, zwłaszcza akty pierwszy i ostatni, grzeszą rozwlekłością i dramatyczną martwością. W ogólności powiedzieć można, że sztuka Rechfisch'a cierpi na brak wyraźnego oblicza; autor jakby nie umiał zdobyć się na jasną i przejrzystą koncepcję artystyczną własną, chowając się wzamian za stosy aktów i dokumentów historycznych, które mogą być tylko surowcem, ale nie elementem sztuki dramatycznej.

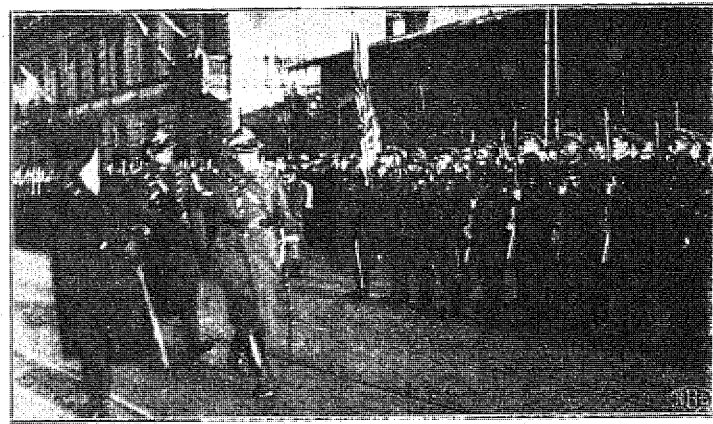
Delta.



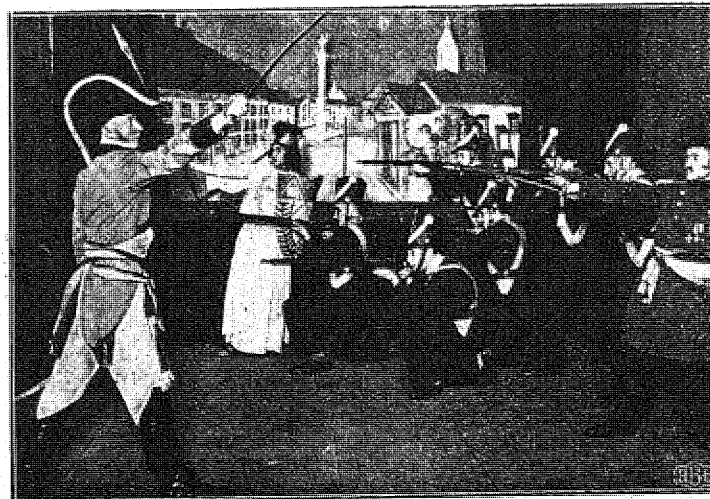
Dzień sztandarów w Łodzi. Stowarzyszenia i korporacje społeczne ze sztandarami przy płycie Nieznanego Żołnierza składają wieniec w rocznicę powstania listopadowego.



W 100-letnią rocznicę powstania listopadowego odbyła się w Łodzi rewja wojska. Strzelca, przysposobienia wojskowego, policji i stowarzyszeń społecznych. Sprężystym krokiem przemaszzerowały liczne oddziały uł. Piotrkowską przed korpusem oficerów i przedstawicielami władz z p. generałem Małachowskim i p. wojewodą Jaszczołtem na czele. Na zdjęciach widzimy maszerujące oddziały.



Pięknie zaprezentowały się w marszu na przegładzie oddziały policji pieszej, a szczególnie policji konnej w hełmach paradnych. Powyżej widzimy od strony lewej oddział policji konnej przed defiladą, na prawo zaś oddziały strzeleckie, prezentują broń przed generalicją.

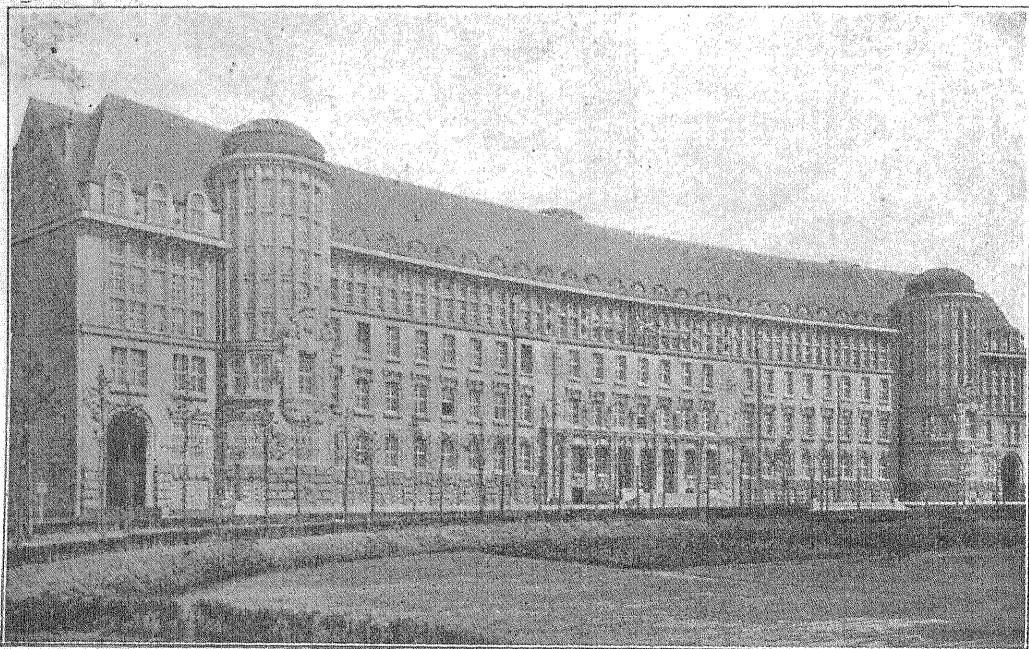


W godzinach wieczorowych we wszystkich stowarzyszeniach, związkach, teatrach i salach odczytowych odbywały się akademie lub przedstawienia okolicznościowe. Koło literackie uczniów gimnazjum im. Bolesława Prusa pod reżyserją prof. A. Janroza wystawiło własnymi siłami „Noc listopadowa” — Wyspiańskiego. Zdjęcia przedstawiają fragmenty walki z Moskali na ulicach Warszawy.

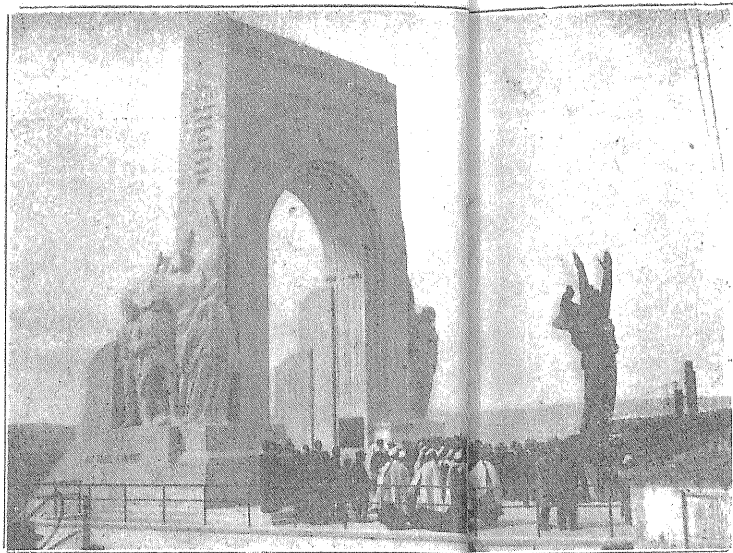




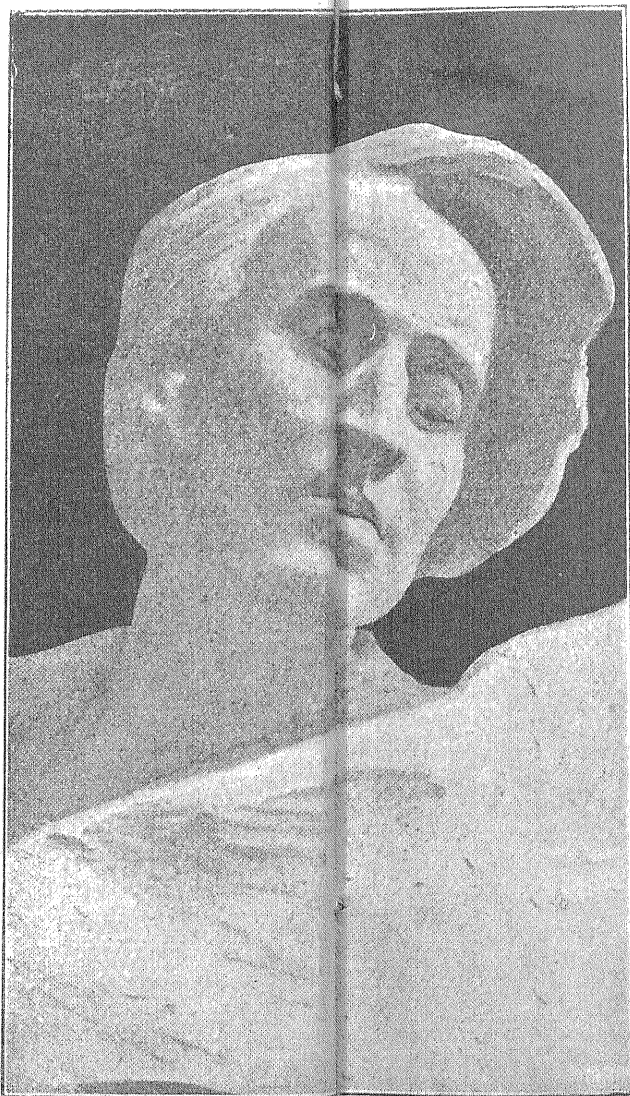
Piękny obraz pędzla Jana Styki, wyobrażający śmierć bohaterską Władysława Szajki z rozwiniętym sztandarem w momencie ataku.



Monumentalny gmach „Książki” w Lipsku, wielkiej europejskiej centrali wydawniczej.



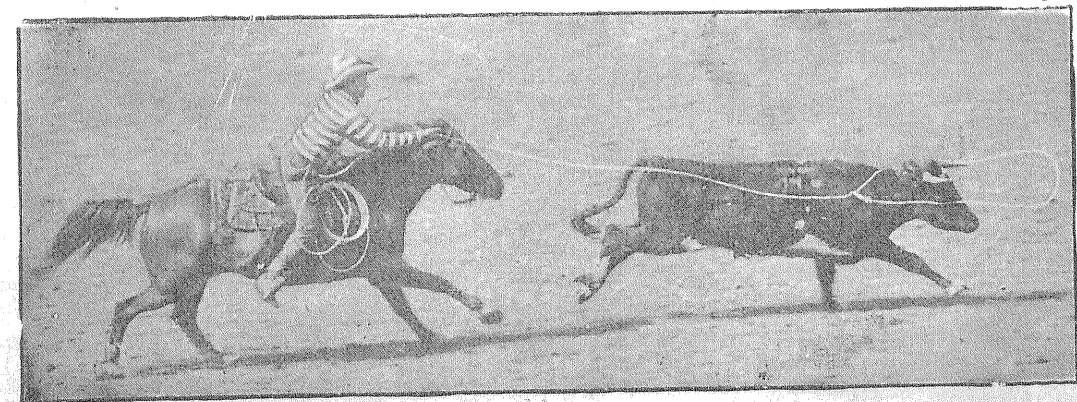
Efektowny i pełen artystycznym pomnik, wystawiony przez mieszkańców Matysyli ku czci żołnierzy i męskich armii lotyńskiej, poległych na obszarach kolonii francuskiej Afryce.



Popiersie Chopina z pomnika genialnego mistrza tonów, wykonanego dłutem Wacława Szymanowskiego w Warszawie.



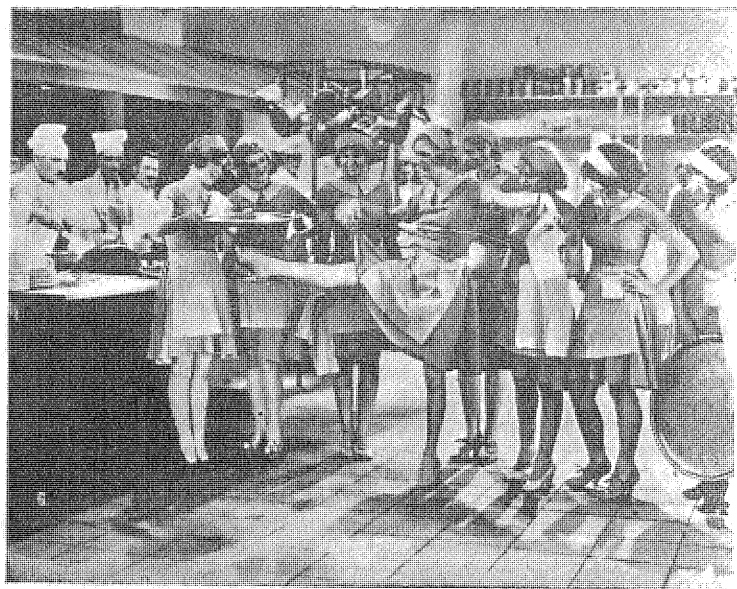
„Moje imię jest Miljon, bo kocham i cierpie za miliony” — „Improwizacja” Adama Mickiewicza — pomnik dłuta Wacława Szymanowskiego.



Na bezludnych obszarach Meksyku. Niezwykły moment chwytania rozjuszonego byka na lasso przez cowboya.



Paweł Whiteman, twórca jazzu ze swym 60-osobowym zespołem, w otoczeniu najznakomitszych gwiazd ekranu i sceny: Jeanette Loff, John Boles, Jeannie Lang, Sisters G. w filmie „Król Jazzu”, będącym rewelacją w dziedzinie dźwiękowców.



Fragment z filmu dźwiękowego „Tancerka Cilly”, w którym debiutowała z wielkim powodzeniem nowa gwiazda na horyzoncie filmowym — Marilyn Miller.



Sharon Lynn, pełna smutku i wdzięku twarzyczka filmowa.



Edmund Love, jeden z najsympatyczniejszych aktorów filmowych.



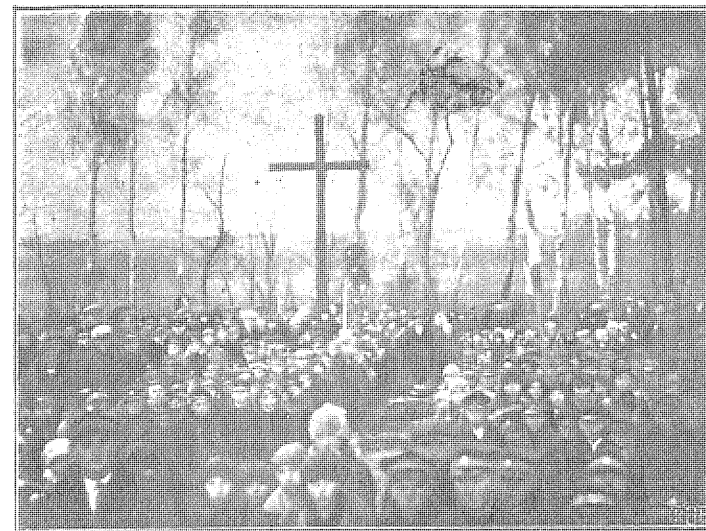
Słodka Janet Gaynor w filmie dźwiękowym „Moje słoneczko”.



John Garrick podbił serca łodzianek w filmie „Podcięte skrzydła”.



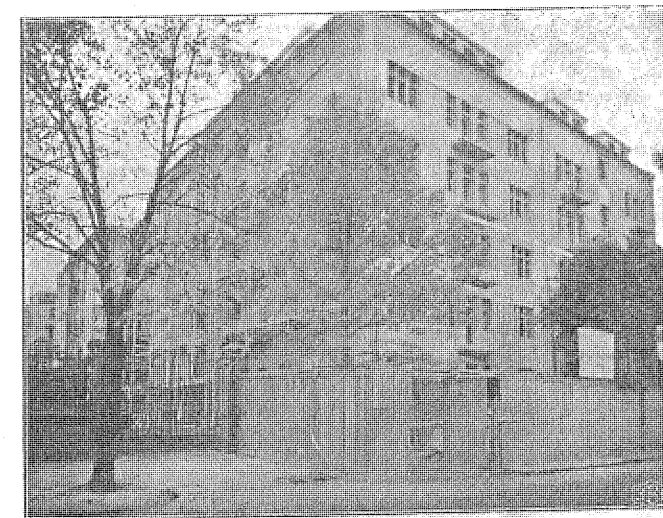
Frank Borzage zrealizował prześliczny film „Pieśń mego serca” z John Mac Cormack’em w roli głównej.



Święto listopadowe wypadło b. podniosłe we wsi Dobrej. Powyżej fragment uroczystego obchodu nad mogiłą poległych 1863-go roku.



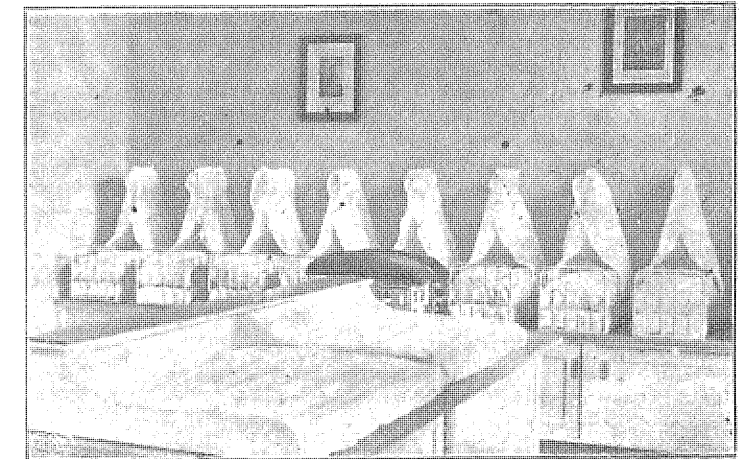
Łódź zdobyła jeszcze jeden szpital odpowiadający nowoczesnym wymaganiom higieny. Jest to nowy szpital ewangelicki przy ul. Północnej 42. Na zdjęciu z lewej strony: personel szpitala z pastorem Brunonem Löflicrem i przełożoną p. Else Binne. Z prawej strony: fragment sali dla dzieci łeci.



Blokowy budynek przy ul. Jerzego w Łodzi, przeznaczony został dla mieszkańców oficerów i podoficerów garnizonu łódzkiego.



Łódzkie Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami wykazuje na terenie naszego miasta i całego województwa łódzkiego b. żywotną działalność. Powyżej zarząd Towarzystwa: prezes — B. Dobranc, wiceprezes — p. Wawrznikiewicz, sekretarz p. Rode, skarbnik — p. Kolaski oraz członkowie zarządu pp.: Nehrebecki, Günther, Kopczyński i Cymer



W Zgierzu odbyła się uroczystość składania przysięgi przez harcerki gimnazjum państw. im. Staszica. Na zdjęciu: opiekunka harcerek, d-owa Lazarowa, ks. Kapelan Wierzbicki i prof. Jankowski na czele zgierskich harcerek.

CHARLES FORGUET.

**Z powodu kwiatu.**

Działo się to około wieczora, w gorącym Sangro de Christo, na południu Nowego Meksyku. „Desperados“owic bandy Czarnego Jacka powrócili już do swych niedostępnych schronisk. Dzięki towarzyszkom tych panów ówarta wieprza gotowała się w kotle wraz z grochem. Na kominię palił się wielki ogień, rzucając fantastyczne cienie na białe mury. W pogotowiu czekały butelki z whisky, nabyte od agentów prohibicyjnych, a pomimo udaremnionej dnia tego napaści i zdobyczy, wszyscy dziś odznaczał się świetnym humorem: bezpieczeństwo było zapewnione, bowiem nastąpiło zawiadomienie policyjne, że następna oblawa na bandę odbędzie się dopiero po tygodniu z powodu ślubu córki okolicznego szeryfa.

Czarny Jack zabójca, którego pomur wyczerpany stał się już niezliczone, pociągnął wielki tyk „Jakiera na trumny“ — lubił dowcipy — i zwracając się do Bena Olbrzyma, nowego rekruta swjej bandy, zagadnął go:

— Przeklęty synu dusicielu, opowiedzcie nam jakim sposobem zostałeś „gangsterem“ skorożes odebrał takie doskonałe wykształcenie na ławach uniwersyteckich starego Albionu.

Ben Olbrzym, piękny i wesoly zawodzaka o niesłychanie dystygnowanych ruchach pomimo ubrania bandyty, zaśmiał się dzwicznie i donośnie, odpowiadając:

— Opowieć wszystko, co chcecie, lecz przedewszystkiem pocznijcie Panienkę. Było to słuszne żądanie. Podano mi zatem butelkę z alkoholem i obdarzywszy ją czułym uściskiem, zezwolił haust głęboki. — Następnie, wystrzelivszy sześciokrotnie w sufit, przyzwyczajony do podobnych wiewiół i podobny do sity, zaczął swą opowieść:

„Nie tak dawno jeszcze byłem synem angielskiego lorda. Jestem nim jeszcze, choć ojciec mój zdolny jest wyrzec się mnie bez skrupułu. Znaczący to tyle, że w ancje, grzmiącemu hulałiwie, przebiegałem Wielką Brytanię od końca do końca, jak meteor, za błążąc po drodze kury, a niekiedy także i przechodniów. Śniadanie spożywałem w jednym miejscu, obiad — w drugim, herbatę piłem, gdzie się trafiło, a kołając jadłem jeszcze rdzie indziej.

W chwilach wolnych od podróży samochodem, grywałem w golfa. Wieczorami zepijłem sherry, zabawiając się grą w karty, a w przerwach tańczyłem z masą panien, żadnych czarować mi nie, by móc pewnego dnia korzystać z olbrzymiego majątku, jaki odebrać miałem po moim rodzicu, słynnym księciu Shetrhaud.

W międzyczasie jednak wyrodny mój ojciec uzewnętrznił skąpstwo, niegodne psanawet. Udzielał mi tylko dziesięć tysięcy

funtów st. rocznie, t. j. tyle tylko, co starczyć mi mogło na zapłacenie tytoniu, rękawiczek i krawatów. Sumę tę wypłacano mi 1-go stycznia z rana i do 31 grudnia włącznie spodziewać się nie mogłem jednego penny ponadto, choćbym potrzebował tylko jeden funt lub zaciągnął dług honorowy.

Po większej części roczna renta moja wyczerpana była doszczętnie przed końcem czerwca, za wyjątkiem dwustu funtów, które odkładałem na nieprzewidziane wydatki. Zrozumiałem wkrótce, że nie mogę na dalszą metę prowadzić życia nędzarza, a wobec tego, że ukochany mój ojciec uznacza się żelaznym zdrowiem i wszystkie szanse były po temu, że mnie przeżyje, jeden tylko pozostawał mi sposób skrócenia tej nędzy: bogaty ożenek. Marzenia moje nie były zupełnie niezasadne, bowiem — jak widzicie — jestem dość przystojnym mężczyzną.

Szukałem więc wśród tych wiecznie gęgających gęsi spadkobierczyń, na którą mógłbym zarzucić sieć, jak cowboy swoje lasso. Nie należało to do przyjemności. — Znosić musiałem różne bezmyślne rozmowy, a z tego powodu różnośne katusze. Ryczeć się chciało z rozpacy: wszystkie były jednakowo czarujące i jednakowo odpychające.

Wkońcu wybór padł na Muriel Lobster, córkę miliardowego kupca herbacianego. — Interesa moje niożyły się pomyślnie: Muriel po krótkich staraniach z mej strony, zadurzyła się we mnie do szaleństwa. Nie uwierzyłem nigdy, panowie, jaki to głupi wy zadek spowodował ruinę gmachu mej nadziei.

Jak wszystkie panny dzisiejszych czasów Muriel posiadała swoją specjalność: zamiłowanie do kwiatów — zwłaszcza kwiatów rzadkich, jak orchidea itp.

Pewnego dnia, gdy przechadzaliśmy się po ogrodzie botanicznym, Muriel ujrzała jakiś dziwny kwiat, który wywołał jej zachwyt.

— O, jakże jest śliczny! — zawołała. — Chcę go mieć, muszę go mieć koniecznie. Umrę, jeśli go nie dostanę!

Jak wam wiadomo, Anglicy są ludźmi porządku społecznego i posłusznymi prawu. Ojciec nie wolno nie zrywać w ogrodach publicznych, a tem bardziej na kwiatnikach Ogrodu Botanicznego. Z chwila jednak gdy kobieta czegoś zapagnie, mężczyzna, zabiegający o jej względy, nie pamięta o żadnych przepisach prawa. Bez protestu nachyliłem się i zerwałem rzadki kwiat. Nawiasem mówiąc, nigdy nie widziałem nic podobnie wstępnego. Jednak z najbardziej ujmującym uśmiechem ozdobiłem nim suknię mojej „gwiazdy“.

Podziękowała mi w gorących wyrazach i doznałem wrażenia, że uważa mnie za bohatera. Czy ten zjednął mi Muriel ciałem

i duszą. Zdawało mi się, że nikt mnie nie widział. Nikt nie zwrócił mi żadnej uwagi i nie zatrzymano nas przy wyjściu z ogrodu. Muriel nie ustawała w pochwałach nad moją odwagą i powróciłem pod dach rodzicielski z głową otumanioną złotem i złoceniami snami.

Tak jest. Nazajutrz jednak odebrałem list od dyrektora Ogrodu Botanicznego. Tymaczył mi w wyrazach, pełnych szacunku, że nie chciało wczoraj robić przykrości synowi angielskiego para, lecz kwiat zerwany stanowił rezultat długich lat studjów, krzyżowań i kosztownych badań. Dla uniknięcia skandalu prosił mnie o natychmiastowe zapłacenie nałożonej na mnie grzywny w wysokości dwustu funtów.

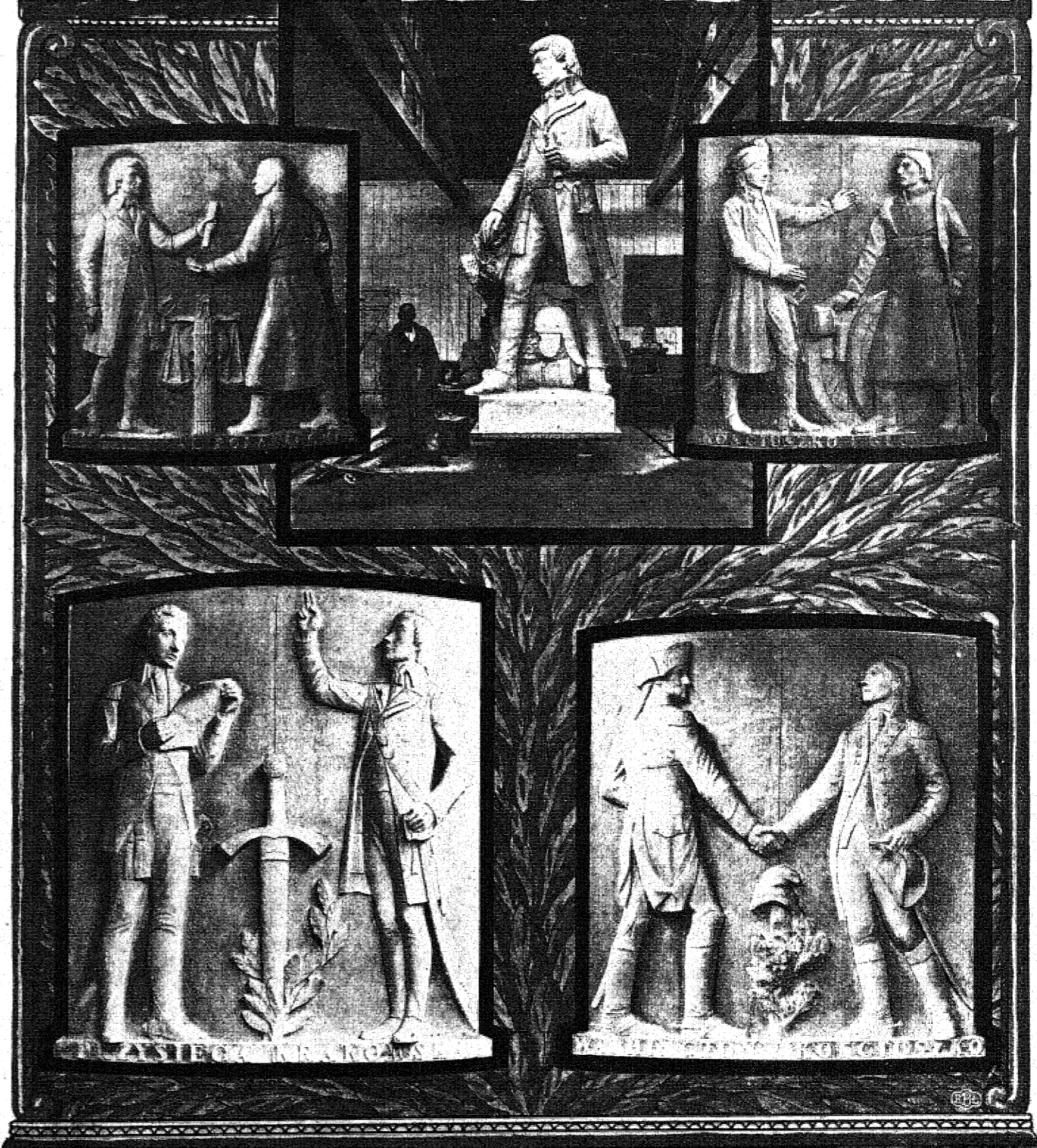
Stanowiło to właśnie całą sumę moich „rezew“. W chwili, gdy żenić się zamierzalem! Usiłowałem wzruszyć mego ojca. Był tem bardziej nieubłagany, że małżeństwo moje z córką człowieka, kogoś w rodzaju „kupca kolonialnego“, nie odpowiadało mu wcale. Słowem: pojęcia zacofane i śmieszne. Nie pozostało mi zatem nic innego, jak tylko próbować w klubie zdobyć w grze potrzebnych mi pieniędzy.

Grałem noc całą ze zmiennym szczęściem. O ósmej z rana przegrałem wszystko, co posiadałem, a w dodatku pozostałem winien dwa tysiące funtów ojcu panny Lobster, w którym nie upatrywałem nieodpowiedniego dla siebie partnera. Wygrywał jednak z pospolitą przesadą, jak umięta wygrywał tylko pospolitacy tej klasy.

W tych warunkach sytuacja moja stała się niemożliwa do rozwiązania, rozwiły się wszystkie moje nadzieje. Jedynym ratunkiem było pożyczenie pieniędzy od znajomego na przejazd do Ameryki. Wsiadłem na okręt, nie pożegnawszy ani tego usługowego człowieka, ani mojej „ubóstwionej“ Muriel. I oto jakim sposobem — po wylądowaniu w Nowym Meksyku — dowiedziałem się manipulowania „six-shooter'em“, strzelania zarówno prawą, jak i lewą ręką, zostałem przyjęty do waszego zaszczytnego towarzystwa.

— Mylordzie, — rzekł Czarny Jack, podsuwając mi butelkę z whisky, — zaszczyt jest całkowicie po naszej stronie. Zrobisz tutaj majątek który zaćmi blask magnackiej fortuny twego ojca, o ile nie wypadnie ci zasać na krześle elektrycznym lub zawisnąć na solidnej gałęzi, jak kiść bananów. Wszystkie zawody mają swoje ryzyko, wszak prawda?

Tłum L. M.

**ŁÓDŹ w ILUSTRACJI**

**CENY OGŁOSZEŃ:** za wiersz milimetrów 1-linowy (strona 8 łamy) — 1 złoty. Zastrzeżenie miejsca 25 proc. drożej. Ogłoszenia dłuższe niż 100 słów. Przy ogłoszeniach klubowych koszty wykonania dłuższe ponosi inwent. Na pierwszej stronie ogłoszeń nie przynajmniej się. Reszota tym liczy się za cały. Administracja ma prawo kwalifikowania ogłoszeń.

Obsta w drukarni „Młotek“.

Dziś, dnia 14-go grudnia 1930 roku odbędzie się w Łodzi niepowszednia a dziejowo doniosła uroczystość. Miasto kominów fabrycznych odstąpi pierwszy i monumentalny pomnik. Jest nim pomnik duchowego wodza narodu, Tadeusza Kościuszki. Moment ten przyoblekał uświet c osobistym udziałem P. Prezydent Rzplitej, prof. Ignacy Mościcki. Uroczystość odbędzie się na Placu Wolności, u piedestału pomnika. Powyżej widzimy poszczególne fragmenty pomnika, wykonanego w pracowni art.-rzeźbiarza p. Lubelskiego.